

KRZYSZTOF A.
ZAJAS
GERDA

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Krzysztof A. Zajas

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

*Nie wiem, czy jestem z tego, czy z tamtego świata:
Gdzie się przybliżam, zaraz wiatr oddali,
Pędzi w górę, w dół, z ukosa:
Tak, pośród pierzchliwej fali,
Wieczną przelatując drogę,
Ani wzbić się pod niebiosa,
Ani ziemi dotknąć nie mogę.*

(Adam Mickiewicz, Dziady cz. II)

*A ty czekasz, ty czekasz na jedno,
co twe życie wzniesie nieskończenie,
na wielkie, niezwykle zdarzenie,
na kamieni nagłe przebudzenie,
na głębie, co u nóg twych legną.*

*Rainer Maria Rilke, Przypomnienie,
przeł. Mieczysław Jastrun*

Pierwsze zejście pod ziemię

luty–marzec 1945

1

Najpierw usłyszała buczenie. Niskie, mrukliwe, podobne do brzęczenia pszczoł, które kiedyś wyroiły się dziadkowi Wilhelmowi i latały jak zwariowane po ogrodzie. Okropnie się wtedy bali. Babcia Henrietta zamknęła ich w pokoju i zabroniła wychodzić, tłumacząc, że od dziesięciu użądleń naraz można umrzeć. A dzieciom daleko do śmierci, mówiła, całe życie przed wami. Siedzieli w sześcioro, oprócz niej młodsze siostry: Anna, Maria, Katharina i Elisabeth, oraz pięcioletni kuzynek Otto od Stubenauerów. Heike była wtedy jeszcze malutka i spała w sypialni rodziców. Otto beczął ze strachu i wołał, że chce siusiu, bo inaczej też umrze. Nie żartuj sobie ze śmierci, karciła go babcia.

Słowo „śmierć” wbiło się wówczas jak kulek w dziecięcą duszę Gerdy. I już tam zostało.

Der Tod. Gdyby wtedy wyszła do ogrodu i wystawiła swoje ciało na brzęczącą chmurę, spuchłaby jak dmuchana zabawka i umarła. Nie poznałaby niczego, co się później wydarzyło. Później, czyli kiedy? W którym roku wyroiły się pszczoły dziadka Wilhelma? W czterdziestym pierwszym, tak, na pewno. Tamtego lata niezwykła armia niemiecka ruszyła na tych strasznych Rosjan, o których tu, we wsi, nie mówiono inaczej niż z nienawiścią. Cztery i pół roku temu. Miała niespełna dwanaście lat i gdyby wtedy umarła od pszczoł, nie musiałyby dzisiaj przeżywać hańbiącego ich naród odwrotu. Nie musiałyby z całą rodziną uciekać nie wiadomo dokąd, wśród złowrogich pokrzykiwań: *Bolschewiken! Iwans!*

To nie pszczoły. Jest ostatni dzień lutego. Pszczoły śpią w zimowym letargu i obudzą się, kiedy już będzie po wszystkim. Wygramolą się z uli na krańcu ogrodu, od południa, gdzie słońce grzeje najmocniej, i popatrzą na nowy, powojenny świat. A w nim już nie będzie Niemców, tylko jacyś inni ludzie. Pewnie Polacy, może Rosjanie. To będzie całkiem inny świat; nie miała tylko pojęcia, jak bardzo inny.

Buczenie narastało. Szttywne, zmrożone powietrze zafalowało, jakby nagle odtajało. Przetarła oczy. Wkoło zalegała bezlitosna biel. Po horyzont i dalej, aż do ołowianego Ostsee, ciągnęły się całuny śnieżnych pól. Czekwały na przyjęcie ciał wszystkich tych, którzy nie przeżyją. Widziała kiedyś taki pogrzeb. Stary Haase umarł sam, biedny i chory na jakąś zaraźliwą chorobę. Jego ciało zawinięto w białe prześcieradło i wrzucono do głębokiego dołu, a potem posypano wapnem. Wtedy mama szepnęła to słowo: *Leichentuch*. Całun. Może mówiła o prześcieradle, a może o tym kredowym proszku, którego drobinki unosiły się nad łopatą grabarza Grundmanna.

Kiedy samoloty wypadły nagle z za lesistego wzniesienia, zeskoczyła z drogi do rowu i przywarła do jaworowego pnia. Gołe drzewa, bez liści, prześwitywały na wylot i bystry strzelec pokładowy mógł ją wypatrzeć. Skuliła się. Zimny i suchy od mrozu pień przypominał kamień. Po obu stronach drogi stało ich kilkadziesiąt, niemych świadków jej wariackiego wyczynu z wracaniem do wsi po Rekxa i odprowadzaniem go na statek w Rügenwalde, a stamtąd dalej na zachód. Przecież pies też ma prawo do ucieczki, tak jak człowiek. Byle dalej od strasznego słowa *Bolschewiken*.

Szpaler jaworów przy drodze z Heinsdorf do Schlawe sadił jeszcze ojciec dziadka. „Wszyscy sadią kasztany albo lipy, a my będziemy mieli aleję jaworową”, powtarzał jego słowa Opa Willi, gdy z siostrami wysłuchiwały opowieści o tym, jak to kiedyś na Pomorzu było wspaniale i jak wszystko schodzi na psy. Skrzywiła się. Ona teraz też zeszła na psy. Na jednego psa, Rekxa.

Trzy. Leciały nisko. Nad wsią wzięły ostry zakręt i ruszyły wprost na nią. Wcześniej już wiele razy widziała samoloty, ale za-

wsze były to samoloty niemieckiej Luftwaffe, ich samoloty. Machała do nich radośnie czerwonymi chorągiewkami z czarną swastyką. Miały przynieść im zwycięstwo i zawsze chronić przed takimi jak te trzy, które sunęły teraz nad drogą, żeby wypłoszyć dziewczynę spod drzewa i zabić. Przycisnęła policzek do zimnej kory. Ukryj mnie, jaworze. Pradziadku, który umarłeś dawno temu i leżysz w tej ziemi, ochroń mnie.

Huk rozrywanego śmigłami powietrza przetoczył się nad jej głową i pomknął dalej na północ. Odetchnęła z ulgą, a potem nagle zrozumiała. Boże, tylko nie to! Wyskoczyła na brukowany trakt i rzuciła się do biegu. Trzeba ich ostrzec! Podeszwa buta ujechała na oblodzonym kamieniu i Gerda upadła na kocie łby. W kolanach eksplodował ból. Poderwała się, ale stłuczone nogi odmówiły współpracy. Upadła znowu. Leżała na środku drogi z pięścią wciśniętą w usta. Zagryzła ją z całej siły. Zabijają ich! Wszystkich zabijają! Usłyszała serię z karabinów. I potężną eksplozję. Jęknęła.

Długo szukała w sobie sił, żeby wstać. Od kamieni szedł lodowaty chłód. Kolana sztywniały i piekły świeżymi ranami w przetarciach wełnianych rajtuz. To było jak ogień płonący mrozem. Nie wstanie, będzie leżeć na środku drogi, aż ją znajdą ci nowi ludzie, którzy mają objąć ich ziemię we władanie. Umrze na drodze. Ta wojna jest jednym wielkim umieraniem pośrodku drogi.

Zamknęła oczy i poszukała w myślach czegoś dobrego, ciepłego, co chciałyby zapamiętać na wieczność, kiedy trupiobiałymi polami przyjdzie tu po nią Pan Śmierć. *Ich bin der Tod*, jak mówił ojciec chrestny w baśni. Tak niedawno, zaledwie tydzień temu, czytała ją do snu sześćioletniej Heike z grubej książki braci Grimm. Mała dostała ją pod choinkę i od tej pory nie chciała spać bez czytania. W jej otwartych oczach tam, na wozie, nie było przerażenia ani zdumienia, tylko otucha. Tak, Gerda, idź, uwolnij go! Pulchniutka i zawsze ciepłutka Heike, do której Gerda uwielbiała się tulić, żeby ogrzać zgrabiałe dłonie, gdy pomorskie chłody przychodziły wcześniej i ojciec jeszcze nie palił w piecu, a mama nie kwapiła się z wyjmowaniem ze skrzyni zimowych pierzyn.

Idę. Biegnę.

Reks został na łańcuchu i zaraz zdechnie z głodu. Mniej więcej taki impuls przed godziną pchnął ją do tego, by puścić uzdę Carla, jednego z dwóch siwków ciągnących wóz ze stertą betów oraz babcią Henriettą i małą Heike, i krzyknąć, że wraca po niego. Ojciec najpierw jej surowo zabronił, potem nazwał idiotką i dodał, że idzie na pewną śmierć. „Uciekamy, żeby przeżyć, a ty, ty...!”, gotował się. Wreszcie uderzył ją w twarz. Chyba nie zamierzała naprawdę wracać, raczej chodziło jej o wykrzyczenie całego tego koszmarnego absurdu z pakowaniem, uciekaniem, porzucaniem domu i wleczeniem się w śniegu i mrozie. Co za różnica, gdzie spadnie na nich to, co i tak musi spaść? Bała się i ten strach nie został tam, w kolumnie uciekinierów, tylko szedł razem z nią. Nie odpuszczał. I już nie odpuści.

Wymierzony przez ojca policzek zmienił kaprys w postanowienie. Zawróciła do wsi.

Zostawiła ich na szosie; ojciec coś gardłował, ale nie pobiegł za nią, choć w duchu na to liczyła. Miał nogę przestrzeloną w kolanie, dlatego zwolnili go z frontu do domu, i teraz chodził, mocno kulejąc. Nie potrafił biegać. Jeśli nie on, to ktokolwiek, może nawet syn kierownika poczty, Joseph Müller, z którym tańczyła w styczniu na zabawie w remizie strażackiej. Nie, nikt się za nią nie ruszył. Sąsiedzi gderali, że nie ma czasu na panięskie kaprysy, więc ojciec świsnął batem, po swojemu zaciskając zęby, i cała kolumna ruszyła dalej. Jeszcze babcia Henrietta zawołała: „Gerda!”, ale słabo. Jakby wcale nie chciała jej zatrzymać, tylko pożegnać. W biegu odwróciła głowę. Babcia i mała Heike patrzyły za nią w milczeniu, z szeroko otwartymi oczami. Zawahała się. Pobiegła. To tylko parę kilometrów, zaraz wróci. Front był jeszcze daleko. Tak mówiono.

Wiedziała, że robi głupio, ale co z tego wszystkiego dokoła nie było głupie?

Kocie łby parzyły w policzek. Z trudem podniosła głowę. Brzęczenie osłabło, daleki huk samolotów uleciał w niebo. Wstała. Potłuczone kolana już nawet nie bolały, tylko po prostu znikły. Między

udami a stopami nie czuła w ogóle ciała, nogi przypominały dwie betonowe podpory. Nie zwracała na nie uwagi. Nadstawiła uszu. Cicho. Bardzo cicho. Wszyscy zginęli. Nie, to niemożliwe. Nie da się zabić całej wsi w parę minut. Na pewno przeżyli i zbierają się do drogi. Stracili trochę czasu i muszą się spieszyć. Ona również. Nikt nie chciał zostać we wsi po tym, jak dotarli do niej uciekinierzy z Prus Wschodnich i opowiadali, co na zdobytych niemieckich terenach wyprawia Armia Czerwona. Na wszystkie sposoby odmieniano słowa *Vergewaltigung* i *Missbrauch*. Mgliście domyślała się, co znaczą, ale naprawdę przestraszyła się dopiero, kiedy zapytana o nie babcia odparła: „Lepiej, dziecko, żebyś nie wiedziała”.

Potała rękami uda i obite kolana, żeby przywrócić w nich krążenie, szara wełna rękawiczek zabrudziła się na bordowo. Zrobiła dwa kroki – da się iść. Oblodzone kocie łby, których parzące piętno czuła nadal na policzkach, przywróciły jej jaką taką równowagę. Na zachodzie mroźny dzień zbierał się do sinofioletowego finału, jeszcze chwila i zacznie się ściemniać. Ależ jest głupia, przecież i tak nie zdąży! Obciągnęła płaszcz, poprawiła przekrzywioną czapkę i ruszyła na północ. Rezygnuje. Za godzinę powinna ich dogonić.

W miejscu osadziło ją szczekanie. Było odległe i cienkie jak pisk myszy. Nie szczekanie, ale zawodzenie; mimo to przeszyło ją na wylot. Natychmiast je rozpoznała. Odwróciła się. Wieża kościoła była na wyciągnięcie ręki, blisko, nie dalej niż kwadrans biegiem, o ile jej kolana podejmą się takiego wyzwania. Spojrzała na zachód, gdzie jeszcze trochę i czerwona twarz słońca oprze swoją posiniaczoną brodę na linii lasu. Na północ, gdzie panowała bezlitosna cisza. Na wschód, skąd dochodziło dalekie dudnienie artylerii. I znowu na południe, gdzie zawodził porzucony przez gospodarzy pies. Jej Reks.

Jest dzielna, najstarsza z szóstki, prawie jak syn. Da radę.

Pobiegła do wsi.

Kolana się rozruszały i teraz biegła raźniej, czując rozchodzące się pod płaszczem ciepło. Ciepło to życie. Będzie żyła. Oni też na

pewno przeżyli, a teraz bardzo się martwią, bo zrobiła głupio, wracając do Heinsdorf z powodu psa, ale zaraz to wszystko naprawi i do nich wróci. Reks jest silnym i mądrym psem, w razie potrzeby mógłby ją nawet pociągnąć na sankach. Wiele razy tak się bawiła. Ojciec odpinał z łańcucha Reksa i zaprzęgał parcianym pasem do sanek, na które kładł koc, żeby dzieciom było ciepłej, i otwierał wrota na schodzącą ku dolinie łąkę. Pierwsza zawsze jechała Ana i kwiczała przy tym z radości jak prosiaczek. Ojciec śmiał się głośno.

Ojciec. Johann Liebner. Uderzył ją, bo musiał, sąsiedzi przyglądali się, jak radzi sobie z wychowywaniem sześciu córek. W całej kolumnie uchodźców, wśród starców, kobiet i dzieci, jako inwalida wojenny był jedynym mężczyzną w sile wieku. Przyszło jej do głowy, że stąd brała się jego surowość: miał sześć córek i żadnego syna, którego mógłby w swoim imieniu posłać na front. A ona, Gerda, była najstarsza. Miała być najstarszym synem, czyli tym silnym, odważnym i odpowiedzialnym, kimś, kto w trudnych sytuacjach potrafi zdobyć się na poświęcenie. W radiu bębniiono o tym na okrągło. No to się zdobyła. Ktoś musiał zrobić poprawkę w ich dobrze zorganizowanym i uporządkowanym wymarszu, do którego wkraść się drobny błąd. Padło na nią.

Wbiegła między pierwsze gospodarstwa. Ścieżka na przełaj, przez stary ogród Grohlów, i potem dalej za domami, żeby nie paradować środkiem ulicy. Grohlowie prowadzili we wsi sklep i nie mieli czasu zajmować się pielęgnowaniem gospodarstwa, więc płot był stary i dziurawy, znała w nim każde przejście. Ganiały tędy z siostrami setki razy. Minęła jedno obejście, drugie, nigdzie nikogo. Tylko długie cienie trzymały daremną straż między opuszczonymi domami. Czarny kot z kurzym skrzydłem w pysku zeskokczył z wielkiego beczkowozu na ziemię i maszerował niespiesznie przez podwórze Stubenauerów. *Mitzi*, zawołała, *Mitzi, hier!* Kotka zatrzymała się, popatrzyła na nią z wahaniem, jakby rozstrzygała poważny dylemat, i dostojnie ruszyła dalej. Znikła w szopie. Gdzie przemknęło przez głowę, że właściwie ją też powinna zabrać, w końcu kot nie jest gorszym domownikiem od psa, ale szybko

odrzuciła ten pomysł. Nie pójdzie do Rügenwalde z całym zwierzyńcem, jak jakiś święty Franciszek, bo przecież na Mitzi się nie skończy. Jakby w odpowiedzi rozszczeakały się okoliczne psy, a ona w ich ujadaniach słyszała prośby i błagania: mnie też weź! I mnie! I mnie! Nie mogła ich zabrać, ale postanowiła w drodze powrotnej odpiąć kilka z łańcuchów. Niech biegną i spróbują przeżyć. Tak jak ona.

Wśród psiego jazgotu wycie Reksa było inne. Teraz już głośne i rozpaczliwe, jakby wiedział, że ona jest blisko, i tym natarczywiej wołał o pomoc. Przyspieszyła kroku. Wpadła na podwórko i zdziwiła się, że spod budy nie skoczył ku niej rozradowany biały szpic o fantazyjnie wywiniętym ku górze ogonie i sterzcących uszach. W ogóle go nie było. Zwolniła i rozejrzała się niepewnie. Gdzie on jest? Wtedy znowu zaskamlał.

Był niewidoczny. Pod ścianą stodoły leżały rzucone byle jak narzędzia rolnicze: czteroskibowy pług, przewracarka do siana, kosiarka McCormick z długim metalowym dyszlem i zębami jak u smoka. Przed nimi piętrzyła się sterta drewnianych bron z metalowymi zębami, od lat nieużywanych, bo ojciec trzymał je już chyba tylko z szacunku do tradycji albo po prostu ze skąpstwa. Normalnie cały ten park maszynowy stał pod wiatą, ale trzeba go było usunąć, żeby wydobyć obszerny wóz drabiniasty, na który potem wszystko załadowali. Ojciec wywłócił brony i rzucił je tam, gdzie mu było najwygodniej, myśląc o szybkim, sprawnym wyjeździe, a nie o bezpieczeństwie psa na łańcuchu.

Reks tkwił między nimi. Ponad kratownicę belek wystawały tylko białe uszy, tułów zatrzymał się w połowie, a łapy obsunęły się niżej i grzebały w powietrzu, próbując złapać punkt podparcia. Kiedy pies wyczuł Gerdę na podwórzu, zawył rozdzierająco i szarpnął się w górę. Uderzył łbem w belkę i zaskuczał przeciągle. Jego łańcuch zaplątał się w kolce bron. Spróbowała podnieść wierzchnią bronę, jej ciężar znacznie przekraczał jednak możliwości szesnastoletniej dziewczyny. Zwierzę zawyło. Reks, piesku, spokojnie. Cicho już, cicho. Zaraz cię wyciągnę.

Potrzebowała dźwigni i podpórki. Przyciągnęła spod ściany gruby drąg, wepchnęła go między brony, odpięła łańcuch od obroży i podważyła kratownicę. Uniosła się, jest dobrze. Pies usiłował sam się wygramolić, ale natychmiast jęknął i opadł. Podstawiła drąg pod uniesioną bronę i ostrożnie ujęła psi korpus. Reks przestał wyc i lizał ją po ręce. No już, psiaku, jeszcze trochę. Chodź. Szarpnęła i psisko warknęło. Kucnęła. Zajrzała pod brony i zrozumiała. Przednia łapa Rekxa wyginała się pod nienaturalnym kątem, wciśnięta między dwa metalowe radełka. Przy każdym poruszeniu ostrze jednego z nich wrzynało się w otwartą ranę. Pchnęła uniesioną bronę na ścianę stodoły i położyła się plackiem na zdradliwej stercie. Sięgnęła w głąb karkołomnej konstrukcji, by po omacku zbadać sytuację. Reks warczał i skuczał na przemian. Miała ochotę robić to samo, ale była najstarsza i dzielna. Trzeba sobie radzić. Pchając łapę w dół, uwolniła ją z niebezpiecznego ostrza, które sterczało teraz czerwone od psiej krwi. Reks w odruchu obronnym przekrzywił łeb i kłapnął ją zębami w bark. Syknęła z bólu. Spokojnie, piesku. Kiedy podjęła go pod boki i ostrożnie uniosła, jęknął niemal ludzkim głosem, ale już cicho, zgodliwie. Najostrożniej, jak umiała, wzięła go na ręce, zsunęła się z nim na ziemię i postawiła na śniegu. Stał na trzech łapach, liżąc czwartą, która wykręcała się na zewnątrz jak uschnięta gałąź. Podniósł łeb, popatrzył na nią smutno i polizał ją po rękawiczce uwalanej krwią z jej rozbitych kolan, jakby chciał ją przeprosić za cały ten bałagan. Pogłaskała go, on zaskamlał. Dwoje feralnych wielbicieli wolności. Ciągnięcie sanek diabli wzięli. Przytuliła twarz do kudłatego łba i szepnęła do psiego ucha: no już, kochany, już. Damy radę.

Dopiero teraz się rozplakała.

2

Zaniosła go do kuchni. Łapa była złamana i pokaleczona kolcami, a dodatkowo poszarpana do krwi tuż przy tułowiu. Wyglądało na to, że pies w przyływie desperacji próbował ją sobie odgryźć, bo Gerda rozpoznawała regularny ślad kłów. Ułożyła go na starym

kocu i przykazała grzecznie leżeć. Pies potulnie usłuchał, a ona myślała, co dalej. Podwórze poszarzało, od wschodu i północy świat zalewała nieubłagana ciemność, która zimą zapada zawsze zbyt szybko i zaskakuje ludzi w środku roboty. Z trudem powstrzymała płacz. Teraz już nie ma odwrotu. Trudno, pójdą do Schlawe po ciemku i jeśli nie dogonią kolumny przed nocą, prześpią się w mieście, gdzie na pewno jest sporo opuszczonych mieszkań, a rano ruszą dalej. Zdążą, na pewno zdążą. Pogłaskała Reksa po puszystej białej sierści. Przestał skuceć i z wywalonym jęzorem grzecznie czekał na rozwój wydarzeń. Zupełnie jakby wiedział, że jeśli chce przeżyć, musi być posłuszny i we wszystkim słuchać się Gerdy. Babcia Henrietta lubiła mówić, że Reks jest najmądrzejszy z wszystkich psów, jakie miała w życiu. Słyszysz? Ty jesteś posłuszny, a ja ci pomogę. Żebyśmy tylko zdążyli. Zdążymy, prawda, piesku?

Odpowiedział jej głuchy grzmot, potem drugi i kolejne. Gdyby było lato, mogłaby się łudzić, że to burza, ale była środa, dwudziesty ósmy lutego, a pszczoły dziadka Wilhelma wciąż spały w ulach na końcu ogrodu. To front. Lęk ją otrzeźwił, poderwała się z podłogi i zaczęła nerwowo szukać czegoś, co nadałoby się do usztynienia łapy. Jej wzrok padł na miotłę w kącie. Przymierzyła ją do złamanej nogi i nożem nacięła kij tam, gdzie długość wydała jej się odpowiednia. Potem pogłębiła nacięcie naokoło i przełamała na udzie. Twardy bukowy kij pękł równiutko. Dobrze, temblak już miała, potrzebowała jeszcze bandaży. Przypomniała sobie, jak mama z babcią mówiły, że żołnierze na froncie robią bandaże ze starych szmat i że gdyby mogły, posłałyby im wszystkie swoje prześcieradła. Pobiegła do sypialni i jednym szarpnięciem otworzyła komodę z pościelą. Zapach nakrochmalonego płótna uderzył ją w nozdrza, serce się ścisnęło.

Usiadła na łóżku rodziców i przytknęła do twarzy wielkie, sztywne prześcieradło. Boże jedyny, to jest mój dom? Ten sam, w którym spędziłam całe swoje szesnastoletnie życie? I teraz tak po prostu trzeba go zostawić? Przecież innego już nie będzie mia-

ła! Otarła prześcieradłem łzy. Wszystko na nic, całe to jej wariackie bieganie tam i z powrotem prowadzi donikąd. Nie ma już tego świata, w którym mama krochmaliła płócienną pościel i potem Gerda ukradkiem miała ją przed obłóceniem, żeby trochę zmiękała. Nie ma, a ona żadnego innego nie potrzebuje. Lepiej już było umrzeć od pszczoł. Jej życie i tak nigdy dla nikogo nie miało znaczenia. I tak wszystko przegrane.

Za oknem ciemność zadudniła groźnie, w sypialni rodziców również rozpanoszył się wieczorny mrok. Z tego pośpiechu nie zapaliła światła, nie była zresztą pewna, czy w ogóle jest jeszcze prąd. Wstrząsnął ją chłód. Pies w kuchni nagle zaskamlał głośno, ale jakby inaczej, bardziej radośnie. Uniosła zapłakaną twarz i zobaczyła, że w drzwiach stoi chłopiec.

– Gerda?

– Otto? – krzyknęła, zrywając się z łóżka. – Co tu robisz?

Otto Stubenauer sięgnął do kontaktu i przekręcił bakelitowy włącznik. Sypialnię zalało żółte światło. Stał w progu w zimowym kożuszku z futrzanym kołnierzem i w oblepionej śniegiem wełnianej czapce na głowie. Uśmiechał się. Podbiegł do niej i mocno objął ją w pasie.

– Gerda! Już się bałem, że cię nie znajdę.

Zdziwiona odwzajemniła uścisk. Nagle odczuła nowy strach – że nie da rady opiekować się i chorym psem, i kuzynem. Zginą całą trójką, a ją przed śmiercią czeka jeszcze to potworne *Vergewaltigung*.

– Po co przyszedłeś? – spytała, kiedy już ją puścił.

– Żeby ci pomóc – odpowiedział rezolutnie i pogładził ją po ręce. Oboje drżeli.

– Przyszedłeś sam?

– Ana i Maria też chciały biec, ale wujek Johann je zatrzymał i kazał włączyć na wóz, a babci Henriecie i cioci powiedziały, żeby je pilnowały. Wszystkie dzieci płakały, a ludzie z innych wozów krzyczeli. Chcieli już iść dalej, podobno jakiś specjalny statek czeka w Rügenwalde. Gdzie jest Reks?

– W kuchni. Ma złamaną łapę, wpadł na brony. A ty? Ciebie nie zatrzymywali?

– Zatrzymywali, ale skłamałem, że idę na siku w krzaki, i stamtąd pobiegłem przez pola do Heinsdorf. Widziałaś te samoloty? Strzelały do nas, ale krótko, i poleciały dalej, chyba na Schlawe. Straszny krzyk się podniósł. Chodź, trzeba wracać!

Pociągnął ją za rękę, a ona posłusznie poszła za nim, oszołomiona nieoczekiwanym obrotem rzeczy. Mały Otto przybiegł, żeby jej pomóc. Szaleństwo, ale jakieś takie... dobre. Strach odpełził na chwilę i poczuła wielką, niewysłowioną ulgę, że już nie jest sama z tym zimnym, połamanym światem. Bliskość drugiego człowieka, choćby i dziesięcioletniego kuzyna Ottona Stubenauera, była może najlepszą odpowiedzią na tę pełznącą od wschodu ciemność i zarazę, posypaną wapnem zmrożonego śniegu.

Kiedy przeszli do kuchni i włączyła pstryknięciem światło tak, jak robiła to setki razy przez te wszystkie heinsdorfskie lata, znowu dopadło ją poczucie nierzeczywistości. Przecież to niemożliwe! Dom nadal stoi, meble czekają, łóżko pościelone, światło w kuchni się pali – a oni to porzucili i uciekają. Dokąd? Po co?

Pomoc Ottona znacznie przyspieszyła całą operację. Podarli prześcieradło na podłużne paski, przygotowali kijek oraz tasiemki i zabrali się do nastawiania złamanej kości. Gerda całym ciałem przywarła do Rekxa, łeb schwyciła w obie ręce i głaszcząc, szeptała uspokajająco do psiego ucha, podczas gdy jej kuzyn próbował wepchnąć odstający piszczel na swoje miejsce. Cicho, piesku, zaboli, a potem już będzie dobrze. Cicho, ciii, ciii. Chyba rozumiał, bo z otwartego pyska dobywał się jedynie słaby jęk. Ludzki.

Mały Otto zdumiał ją swoim opanowaniem. Dopiero co trząsał się ze strachu i podniecenia, a przy nastawianiu kości potrafił się skoncentrować jak profesjonalny weterynarz. Wiedziała, że lubił zwierzęta i zawsze jakieś hodował w klatkach za stodołą, nie sądziła jednak, że ta pasja przekłada się na aż taką sprawność. Chłopiec lewą ręką ujął łapę od góry, a prawą delikatnie obmacywał zła-

manie, szukając odpowiedniego punktu. Kiedy go znalazł, pchnął wystający piszczel kciukiem i usztywnił całość zaciśniętymi palcami obu dłoni. Psem wstrząsnął nagły ból, Gerda przytrzymała go z całej siły – i w kilka sekund było po wszystkim.

– Powinno być równo – oznajmił Otto spokojnym i pewnym głosem, jakby całe życie nic innego nie robił, tylko nastawiał psom złamane kończyny. Reks z zaskoczenia również przestał jęczeć i patrzył na nich w oszołomieniu.

– Skąd ty umiesz takie rzeczy? – spytała zdziwiona.

– Nie umiem – odparł. – Nauczyłem się teraz. Składałem kiedyś skrzydło kawki, ale to było co innego. Przytrzymaj temblak.

Przypomniała sobie kawkę o imieniu Hilda, którą chłopiec faktycznie pielęgnował w ubiegłym roku i która pewnego dnia odleciała, by nigdy więcej nie wrócić. Zupełnie jak ona – odleci stąd i nigdy więcej nie wróci. Szaleństwo.

Przystawiła przycięty kijek do psiej nogi, a Otto przywiązał go tasiemkami, zręcznie omijając rany i otarcia na skórze. Potem zabrali się do owijania łapy bandażami, od tułowia aż do łokcia, a po skończonej robocie kazali psu wstać. Stał na trzech łapach, tę usztywnioną podginając do tyłu, i niezdarnie podszedł do miski. Dwa razy podparł się kikutem, jęknął z cichą pretensją do swego psiego losu i zaczęła głośno chleptać wodę.

Kłęcząc obok niego, Gerda objęła Ottona za szyję i ucałowała w policzek.

– Taka ci jestem wdzięczna. Już myślałam, że tu zostanę i zdechniemy oboje na środku podwórza, Reks i ja, dwa zapomniane bydłatka z bawerskiego dobytku Liebnerów.

– Coś ty, Gerda.

– Naprawdę, Otto. Wiesz, gdy stanęłam w progu domu i uświadomiłam sobie, jak strasznie głupotę zrobiłam...

– To wcale nie była głupota!

– Była. Do tego ta złamana łapa. I że jestem sama...

– Przecież wiesz, że ja... nigdy bym cię nie zostawił – wypalił i natychmiast spuścił wzrok.

Przyjrzała mu się.

– Otto...

Chłopiec nie patrzył na nią, nagle zajęty pilnym zbieraniem białych nitki z podłogi, jakby teraz najważniejsza była czystość w kuchni. Chciała powiedzieć coś miłego, ciepłego; żal jej się zrobiło tego chłopca i jego śmiesznych odruchów, ale od wschodu znowu zadudniła głucha kanonada.

– Chodź, Otto, musimy wracać. Myślisz, że da radę tak iść? – spytała, wskazując głową chłopczącego psa. Jakby w odpowiedzi Reks przekuśtykał ostentacyjnie całą kuchnię i usiadł przed ciemnym kredensem, oblizując pysk.

– Sama widzisz – odparł Otto, zdmuchując z palców kępkę nitki.

Pogładziła go po głowie.

– Jesteś kochanym chłopcem, Otto. A ja jestem strasznie głodna. Weźmy coś do jedzenia na drogę i zabierajmy się stąd. Iwamy idą, jak mówi twój tata. Poszukaj sanek w szopie i rzuć krowom siana, tyle, ile uniesiesz. I tak je zabiją, ale przynajmniej nie będą zdychać z głodu.

Otto wybiegł zadowolony, że nie musi już się przed nią czerwienić, a ona poszła do spiżarni po jedzenie. Wędzonek i serów nie było, mama wszystko spakowała na wóz, ale zostały słoje z wekowanym mięsem. Wzięła dwa do płóciennej torby, dorzuciła podłużny bochenek ciemnego chleba, który sama piekła w ostatnią sobotę, i wybiegła. W sieni skręciła w lewo, żeby ostatni raz załatwić się w łazience. Usiadła na sedesie przykrywającym specjalny zbiornik na nieczystości i ulżyła sobie. Jej rozbite kolana wyglądały jak jedno wielkie nieszczęście, w zasadzie również kwalifikowały się do usztywnienia za pomocą kija i pasków przesćieradła. O tym oczywiście nie było mowy, ale postanowiła przed drogą owinąć je kawałkami płótna, które zostały na podłodze w kuchni.

Wtedy jej wzrok padł na ścianę i nagryzmołony tam przez nią niedawno napis:

*Und du wartest, erwartest das Eine,
Das dein Leben unendlich vermehrt...**

No jasne, jak mogła zapomnieć! Szybko wciągnęła na siebie ubranie, w sieni wygrzebała z szuflady komódki płaską latarkę i wdrapała się drewnianymi schodami na strych. Było tu jeszcze zimniej niż na dole, otuliła się płaszczem i między skrzyniami na zboże przepychała się pod okienko w szczytowej ścianie domu. Pachniało kurzem i myszami. Pod parapetem w niewielkiej wnęcie ukryta była kasetka, a w kasetce – jej sekretny zeszyt z wierszami. Pogładziła palcami śliską okładkę i otworzyła na chybił trafił.

*Die Krähen schrei'n
Und ziehen schwirren Flugs zur Stadt;
Bald wird es schnein –
Wohl dem, der jetzt noch – Heimat hat!****

Pod spodem widniała data. Jej osobista data: 24 września '44, wpisana do zeszytu w niedzielne popołudnie pod jabłoniami w sadzie, z dala od domowników. Było wtedy rozkosznie ciepło i cicho, pola w dolinie spowijała mgiełka babiego lata. Czytała wiersze z książeczki *Das deutsche Gedicht*, pożyczonej w bibliotece w mieście, z polecenia nauczyciela, pana Rätzke, który szybko zorientował się w jej czytelniczych namiętnościach. Przypomniała sobie, jak mała Heike przyplątała się pod jabłonie i spytała, sepleniąc: *Was bleibst du?*, bo zaczęły jej wypadać pierwsze zęby. A ona właśnie przepisywała wiersz o wronach autorstwa ponurego filozofa nazwiskiem Nietzsche.

Inny świat, którego już nie ma i który nie wróci. Dlaczego w tamten ciepły dzień spodobały jej się akurat kraczące wrony i ich smutny autor z grubym wąsem pod nosem? Czyżby już przeczuwała, że z ojczyzną jest coś nie tak? *Weh dem, der keine Heimat*

* „A ty czekasz, ty czekasz na jedno, / co twe życie wzniesie nieskończenie” – Rainer Maria Rilke, *Przypomnienie w: tegoż, Poezje*, przeł. Mieczysław Jastrun, Kraków 1987, s. 50–51.

** Friedrich Nietzsche, *Vereinsamt [Samotny]*, w: *Deutsche Gedichte*, red. Dietrich Bode, Stuttgart 1998, s. 232.

hat, kończył się wiersz. „Cierpi, kto nie ma domu”. Czy to było o niej? W odpowiedzi małe okienko strychowe rozblęskło czerwonym światłem. Podniosła wzrok znad zeszytu i zobaczyła olbrzymią lunę pożaru. Chwilę później w powietrzu przetoczył się huk, a szybki zadrzały piskliwie w ramkach. Płonął sąsiedni Kortow, najbliższa wieś na wschód od Heinsdorf. Wcisnęła zeszyt do torby i pobiegła na dół. Reks i Otto czekali na nią w sieni.

– Gerda, musimy uciekać! Prędko!

– Widzę. Słyszę. Masz sanki?

Otto pokiwał głową i wybiegł. Na progu kuchni wzięła trzy głębokie wdechy, żeby się znowu nie rozplakać, zgasiła światło i wyszła. Klucz schowała na belce, gdzie nie tak trudno było go znaleźć, choć pewnie w ogóle nie będą szukać. Podobno zwykle rozwalali drzwi kopniakami.

Ruszyli w drogę powrotną ścieżką za domami. Zachmurzyło się i wiatr zaciął w twarz suchym śniegiem, który zalepiał usta i nos. Pomorska pogoda dostosowała się do szalonego czasu i zmieniała się równie szalenie. Łuny na wschodzie rozświetlały niebo jak scenę, na której szykuje się wielki spektakl. Gerda modliła się, by nie musiała w nim odgrywać żadnej roli. *Liebe Gottesmutter*, miej mnie w swojej opiece. Wypadło blado. Słowa jej kruchej modlitwy co rusz mąciło wyobrażenie podobnych do diabłów mongolskich jeźdźców, w blasku pochodni galopujących po zaśniewanych polach i pokrzykujących: *Ała, ała!*, z karabinami zamiast wideł. Obraz był mocny i przyćmiewał twarz Matki Boskiej. Bolał aż gdzieś w dole brzucha. Straszny i fascynujący, jak ilustracja z baśni braci Grimm. Tak to widziała: za dnia Pan Śmierć idzie przez białe pola, nocą nadjeżdża konno ze swymi czerwonymi pomocnikami. Nieustępliwy. Nieubłagany. *Herr Tod*.

Otto ciągnął sanki, na które zrzuciła płócienną torbę z jedzeniem i dwa koce, na wszelki wypadek. Reks kuśtykał obok Gerdy. Szybko połapał się, o co chodzi z tym kijem na łapie, i stawiał ją uważnie, po kociemu, czasami tylko z cicha pojękując, gdy trafił na nierówność.

Mijali właśnie dom Stubenauerów i Otto zwolnił.

– Nie wróciłeś przypadkiem po coś jeszcze? – spytała.

Znowu się zaczerwienił, a potem z wahaniem przytaknął.

– To będzie minutka, zobaczysz. Mogę?

– A powiesz mi, co to jest, czy będziesz udawał, że nie chodzi o twoje ołowiane żołnierzyki?

Zrobił zdziwioną minę, a potem przytaknął.

– Chodzi. Tata mi nie pozwolił zabrać. Że za ciężkie.

– Biegnij. Ja uwolnię parę kundli, obiecałam im.

Umówili się w tym samym miejscu za pięć minut. Wzięła Rek-sa na sznurek i odwróciła się.

– Otto...

Chciała powiedzieć, żeby uważał na siebie. A w razie czego niech ucieka polami w dół na Malchow, bo tam są gęste zarośla i łatwo się ukryć. Nie wiedziała dlaczego. Coś w niej chciało to powiedzieć. Nie zdążyła, chłopiec już zniknął na podwórzu Stubenauerów.

Zniknął na zawsze.

Zarzucała na ramię worek i poszli z Reksem do najbliższego gospodarstwa państwa Kollwitz. Nie pamiętała imienia płowego kundla, więc zawołała do niego po prostu „piesku”. Szczeknął groźnie, na dobre zaś rozszczękał się na widok Rek-sa. Inne psy w okolicy dołączyły, Reks również, i w jednej chwili rozpoczęła się ogólna awantura. W tej sytuacji podchodzenie do psa Kollwitzów ograniczyłoby z samobójstwem. Jej pochopnie rzucona psom obietnica okazała się znacznie trudniejsza w realizacji, niż to sobie zaplanowała. Coś jednak wypadało zrobić. Psi jazgot narastał i aż się zdziwiła, że tylu gospodarzy zapomniało o swoich pupilach. No cóż, oni też zapomnieli o Reksie...

Postanowiła „uratować” chociaż jednego.

Zerknęła na wschód. Łuna przygasła, salwy armatnie również jakby nieco przycichły. Zdąży. Po krótkim namyśle ruszyła do centrum wsi, do gospodarstwa państwa Müllerów, którzy mieszkali obok czerwonego budynku poczty. Ich poczwiwa wilczyca o imie-

niu Dora mimo łańcuchowego życia nie straciła sympatii do ludzi i zawsze chętnie dawała się głaskać. Gerdzie zdawało się, że w ogólnym harmiderze słyszy również jej daleki szczek.

Dora, ujrawszy ich, podskoczyła z radości, a następnie rymśnięła malowniczo zadkiem w zwały śniegu. Wygrzebywała się stamtąd, skamlając i merdając wielgachnym ogonem. Nie potrafiła zapanować nad emocjami i kiedy Gerda macała przez rękawiczkę oblodzony łańcuch w poszukiwaniu zapięcia, ta lizała ją i tyrpała nosem, jakby jej wybawicielka była w ramach premii obwieszona pętami kielbasy. Wreszcie dziewczynie udało się nacisnąć spinkę i uwolnione psisko wykonało szaleńczy bieg dokoła podwórza, wyszczekując swoją radość na wszystkie strony. Po zrobieniu pełnego kółka Dora sprintem wypadła na ulicę i skręciła w prawo na szosę do Schlawe. Gerda uśmiechnęła się. Psy nie muszą się zastanawiać, od razu wiedzą, dokąd biec. Z poczuciem jako tako spełnionego obowiązku zarzuciła torbę na ramię, ujęła sznurek Rekxa w zgrabiące ręce i zrobiła krok ku furtce.

Padł strzał.

Znieruchomiała. Serce skoczyło jej do gardła. Padł drugi strzał. Towarzyszył mu krótki, przeraźliwy skowyt, po czym wszystkie psy we wsi ucichły jak na komendę. Przemagając panikę, wciągnęła Rekxa za szopę, wepchnęła go pod drewnianą taczkę i sama na czworakach wpełzła za nim. Przez szparę w deskach spojrzała na ulicę. Latarnie nie działały i centrum Heinsdorf skrywała ciemność mdło rozjaśniona świeżym śniegiem. W tej ciemności zastukały końskie kopyta. Ich złożony, egzotyczny rytm był jak zaproszenie do tańca. Gerdzie zawirowało w głowie, oparła się ciężko o ścianę i przytuliła Rekxa. Cicho, piesku, cicho. Oddychała płytko, bezgłośnie. Chciałaby zniknąć. Więc to już? Tak... szybko? *Gottesmutter, Gottesmutter*, powtarzała szeptem, ale żadna święta figura nie dała najmniejszego znaku, że jest zainteresowana jej losem.

A potem ich zobaczyła. Trzy cienie sunące środkiem ulicy i żar trzech tłących się papierosów. Tańczyły w takt końskich kroków. Czerwone diabły, które przysłał Pan Śmierć.

Jechali wolno, z uwagą obserwując zabudowania. Ten w środku trzymał w rękę pistolet z długą lufą i zerkał czujnie raz w jedną, raz w drugą stronę. Dwaj po bokach lustrowali zagrody, mierząc w chałupy z pistoletów maszynowych. Konie stąpały posłusznie w równym szyku, mimo puszczonej wodzy. Kiedy znaleźli się na wysokości szopy z ukrytą za taczkami Gerdą, tulącą do siebie okulałego i cierpiącego psa, ten najbliżej niej podniósł rękę i wszyscy trzej zatrzymali się bez słowa. Nasłuchiwali przez chwilę w ciszy. Potem jeździec, który dał znak pozostałym, lekko zwrócił się w stronę jej kryjówki i koń natychmiast wykonał polecenie. Skręcił i przez otwartą furtkę ruszył na podwórze. Śnieg nadal padał, był jednak zbyt drobny, by w tak krótkim czasie zasypać ślady człowieka i psa. Wyraźne odciski butów oraz psich łap prowadziły wprost pod taczkę. Gerda zakryła łokciem głowę i zacisnęła powieki. To koniec. Nie broń się. Po co.

Miękki stuk kopyt narastał, zbliżał się. Słyszała świst z końskich chrap i dzwonienie uprzęży. Miała wrażenie, że coś przysgniata ją i dławi, jakby całe niebo osunęło jej się na głowę i dociskało ją do ziemi. Nie była w stanie się ruszyć, nie mogła przełknąć śliny, wstrzymała oddech. Czekwała na ten ostatni błysk, w którym podobno widzi się całe swoje życie, od początku do końca, czyli do teraz. Przyszło jej jeszcze na myśl, że Reks naprawdę jest bardzo mądry i nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Zaczęła się dusić i z cichym westchnieniem wypuściła powietrze z płuc. Stukanie kopyt ustało. W powietrzu zawisła cisza, nieznośnie długa i męcząca. Poczowała ostry zapach końskiego potu. Otworzyła jedno oko.

W odległości dwóch metrów od szopy stał murowany *Hinterhaus*. Przejście między nimi służyło do noszenia słomy ze stodoły do stajni i wyciągania obornika. W tym przejściu tkwił koński łeb, a po chwili wyłoniła się obok niego ludzka głowa w trójkątnej futrzanej czapie. Wysuwała się powoli, czujnie, w bladej śnieżnej poświacie błysnęły kanciaste policzki, ciemny wąs. Gerda nie wi-

działa oczu pod futrzanym otokiem, ale była pewna, że one widzą ją. Skośne i martwe. Diabelskie. Zdrętwiała, niezdolna wykonać żadnego ruchu. Reks nie wytrzymał i warknął, koń lekko podebrał łeb, a twarz wykrzywiła się w grymasie, zapewne uśmiechu, i dziewczyna ujrzała wyciągniętą ku niej rękę.

– *Frau, komm* – powiedział cicho jeździec. Nadal się uśmiechał, a może tylko jej się wydawało w wirującej drobnym śniegiem ciemności. Reks znowu warknął, ale żołnierz nie zwracał na niego uwagi.

– *Frau, komm* – powtórzył miękko, z dziwnym akcentem. Gerda czytała kiedyś, że diabeł potrafi mówić wieloma językami. Akcent jednak miał własny, pomyślała z dziwną lekkością. Bała się poruszyć, coraz wyraźniej czuła, że to do niczego nie prowadzi, że najważniejsze już się stało. Reks warczał, ona głaskała go uspokajająco. Cicho, nie warcz, to koniec. Poczowała ulgę. Nareszcie.

Żołnierz płynnym ruchem zsunął się z konia i stanął przed nią z przewieszonym przez ramię automatem. Gwałtownym ruchem odepchnął taczkę, a ta z łomotem runęła na ustawione pod ścianą narzędzia. Wyciągnął rękę i Gerda drgnęła, po czym bezwiednie uniosła dłoń w wełnianej rękawiczce. Patrzyli na siebie, ona napięta i sztywna, on uśmiechnięty. Nachylił się.

– *Komm, dziewczuszka.*

W tym momencie powietrzem targnął potężny huk. Spłoszony koń zarżał i poderwał się do biegu, wyrzucając spod tylnych kopyt bryły zmarzniętego błota. Grudki zagrzechotały o szopę. Diabeł w trójkątnej czapce błyskawicznym ruchem złapał się lęku i wskoczył na siodło, po czym pogalopował zsunięty na bok jak akrobata. Po kilku sekundach zniknął wśród zabudowań. Pozostali dwaj również pognali ulicą na drugi koniec wsi, głośny tętent po heindorfskim bruku odbijał się echem od ścian budynków. Rozległa się kolejna eksplozja, a potem znajomy terkot broni. Wczoraj i dzisiaj słyszała go wiele razy od strony zbliżającego się frontu, daleki i słaby jak cykanie świerszcza. To pewnie ten dziwny pistolet z magazyńnikiem jak puszka szprotek, który jej diabeł miał na ramieniu.

Jej diabeł, też coś. Podparła się ręką o szopę i ostrożnie wstała. Jeszcze nie pojęła do końca, co się wydarzyło. Jej ciało przygotowało się już na najgorsze, gdzieś w głębi zadziałał mechanizm blokady bodźców i stała teraz jak skamieniała, bez czucia, bez myśli, bez tykotu gorącej krwi. Przekroczyła granicę strachu i nie czuła nic. To była ostatnia reakcja obronna organizmu na owo niepojęte, nieznanne, straszne *Vergewaltigung*.

Reks trącił ją nosem w obtarte kolano. Wzdrygnęła się. Tak, tak, biegnijmy. Złapała mocno sznurek w lewą rękę, prawą przytrzymała torbę na biodrze i pobiegła za stodołę. W pierwszej chwili pomyślała, żeby się schować w piwnicy u Müllarów, zaryglować drzwi i przystawić czym się da, a potem przeczekać do odejścia żołnierzy. Szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Po pierwsze, nie wyobrażała sobie drzwi, których tamten człowiek nie potrafiłby otworzyć. Po drugie, zbliżał się front, a z nim cała armia istot podobnych do jej prześladowcy. Musiałaby tam siedzieć tydzień, a może i miesiąc.

Jeszcze nie wszystko skończone. Biegła na oślep przez sady za domami i gorączkowo odtwarzała w pamięci mapę okolicy. Mały domek starego Haase, ciasne podwórko, biedna stajnia, i tyle. Dalej okazałe gospodarstwo Aschenbrennerów, z dwoma budynkami gospodarczymi z biało-czarnego fachwerku i z osobną stajnią dla koni – mnóstwo potencjalnych kryjówek, ale nigdy tam nie była i nie miała pojęcia, gdzie ich szukać. Ceglany budynek poczty, kościół, szkoła... Zawahała się. Znała szkolną piwnicę i nawet kotłownię. Kiedyś razem z Inge Katz odważyły się tam pójść po pana od rachunków, który lubił na przerwach znikać w podziemiach i dekować się u ciecia, a potem zapominał przyjść na lekcje. Wracał w mdłych oparach alkoholu, na co Rudi Kollwitz stwierdzał z całą stanowczością, że rozpoznaje samogon. Kollwitzowie uciekli wcześniej, jeszcze w styczniu, i są już w Niemczech. Boże, gdzie ten świat nagle zniknął?

Rozejrzała się i stwierdziwszy, że w polu widzenia nikogo nie ma, ostrożnie podeszła pod drzwi szkoły. Zamknięte na głucho.

Okna na parterze były zabite od wewnątrz deskami. Mogłaby stłuc szybę i odbić deski, ale wtedy pokazałaby, gdzie jej należy szukać. Równie dobrze mogłaby otworzyć drzwi na oścież i narysować strzałkę na śniegu: tu jestem! Należało się spodziewać, że będzie zamknięte. Żaden porządny niemiecki stróż nie zostawiłby otwartej szkoły, nawet jeśli zbliżają się najeźdźcy, którym wystarczy chwila, by cały budynek obrócić w perzynę. Obejrzała się i stwierdziła, że ślady na śniegu również ją zdradzają. Wróciła na pola. Przysiadła na śniegu za krzewem dzikiego głogu. Reks, wymyśl coś, błagam!

Psisko dyszało ciężko z wywalonym językiem. Głodne, chore, wyczerpane – pojękiwało jak dziecko. Zupełnie nie przypominało kogoś, kto mógłby teraz wpaść na świetny pomysł w sprawie kryjówki. Czy w jakiegokolwiek innej sprawie. Pies położył się na śniegu i zamknął oczy. Zasypiał.

Po drugiej stronie wsi, gdzie przed chwilą doszło do eksplozji, wybuchł pożar. Jęzory płomieni zrazu nieśmiało błysnęły między domami, by wkrótce wystrzelić w niebo, rozświetlając okolicę. W ognistej poświacie Gerda ujrzała jeźdźca z pistoletem w ręku, którego wcześniej uznała za dowódcę. Galopował niespiesznie półkołem, gdy nagle coś przykuło jego uwagę, osadził konia w miejscu, zeskoczył i ukląkł na śniegu. Trwało to zaledwie kilka sekund, po czym poderwał się i nie używając strzemienia, zwinnym skokiem dosiadł wierzchowca. Wymierzył pistolet w niebo i strzelił dwukrotnie. Zakręcił się, wykonując pełne koło i pogalopował łąką opadającą łagodnie na wschód, ku dolinie rzeki Wipper. Dwaj pozostali wypadli spomiędzy domów i pognali za nim. Na siodłach za ich plecami podskakiwały niewielkie tobołki. Zanim zniknęły za pochyłością wzgórza, dwa następne pożary rażno pochłaniały budynki w tej części wsi, gdzie stał ich dom oraz dom Stubenauerów. Wieś płonąła.

Dopiero teraz pomyślała o kuzynie. Przecież on tam został! Wybiegła zza domów i nie zważając na niebezpieczeństwo, popędziła środkiem ulicy w kierunku pożarów. Umęczony Reks kuś-

tykał niezgrabnie za nią, skamłąc z bólu. Trudno. Ważniejsze od złamanej nogi było znalezienie żywego i całego Ottona, chłopca, który wrócił po pudełko z ołowianymi żołnierzkami tak jak ona po swój zeszyt. Takie głupstwa i okupione taką ceną! Gdyby sobie darowali swoje dziecięce słabości, byłiby już daleko stąd.

Gdyby, gdyby... Gdyby nie wróciła po psa, pewnie byłaby już ze wszystkimi w mieście, a może dalej, w drodze do portu. Gdyby ojciec nie rzucił bezmyślnie bron pod stodołę, a Reks nie wpadł na nie, również byłaby już daleko stąd. Z kolei gdyby Otto nie przyszedł jej z pomocą, pewnie nadal mozoliłaby się nad psią łapą i nawet nie zauważyłaby trzech czerwonych diabłów stojących w progu kuchni tuż za jej plecami. A później? Gdyby nie te wybuchy, co by się stało? Jakie zamiary miał człowiek w trójkątnej czapie i o skośnych, zimnych oczach? Dokąd chciał ją zabrać i co zrobić? Przebiegł ją dreszcz. Dalej wołała nie gdybać.

Płonął dom przed Stubenauerami oraz dwa inne po drugiej stronie ulicy, które podpalili tamci dwaj, opuszczając wieś w ślad za swoim dowódcą. Co ich skłoniło do nagłego odjazdu i dlaczego ten, który ją znalazł, po nią nie wrócił? Przestraszyli się? Pojechali po posiłki? A może po prostu zdobyli potrzebne informacje i pojechali o nich zameldować?

Sanek na ścieżce za domami nie było. Ich ślad prowadził ku zachodniej dolinie, dokładnie tam, dokąd miała zamiar wysłać Ottona na wypadek nieoczekiwanego rozdzielenia. Jeśli rzeczywiście się tam udał, byłby to dosyć niesamowity zbieg okoliczności. Najpierw postanowiła jednak sprawdzić, czy kuzyna nie ma w domu. Zanim weszła do domu wujostwa, obejrzała się przez ramię. Coś jej nie grało. Przy płonącej stodole powinien stać beczkowóz, którym Weidemannowie wywozili gnojówkę do nawożenia pól i deszczówkę do podlewania roślin. Była to całkiem spora cysterna na wielkich gumowych kołach i stała tu jeszcze godzinę temu. Gerda dobrze to zapamiętała, bo właśnie z tej beczki na płot skoczyła Mitzi, zanim znalazła się na podwórku. Zerknęła przez płot na drugą stronę. Po beczkowiezie zostało parę postrzępionych blach

i koło żałośnie podparte kawałkiem urwanej osi. Stodoła od tej strony w ogóle nie miała ściany. Gerda przypomniała sobie głuchy wybuch i doszła do wniosku, że musiała to być eksplozja beczki. Czyżby Otto? Jak on to zrobił?

Z zamętem w głowie weszła do domu Stubenauerów, który znała doskonale.

– Otto?

Nikt nie odpowiadał. W blasku pożaru przeszukała cały dom, ale młodszego i sztubacko w niej zakochanego kuzyna nigdzie nie było. W jego pokoju znalazła na łóżku drewnianą kasetkę, w środku grzechotały ołowiane żołnierzyki. Otworzyła i wyjęła jednego na chybił trafił. Tatarski wojownik na koniu, z łukiem i w trójkątnej czapce na głowie. Pospiesznie wrzuciła figurkę do pudełka i zatrzasnęła z powrotem.

– Otto? – zawołała drżącym głosem. – Jesteś tu? Otto?

Ciszę przerywał jedynie trzask belek z płonącej stodoły Weidemannów. Płomienie strzelały w górę, a wiatr sypchał je na dach domu. Widok był oszałamiający i straszny, a ona była bezradna. Nie miała ani czasu, ani możliwości, ani siły, by cokolwiek zrobić. Wzięła pudełko z żołnierzykami pod pachę i zbiegła na dół, potykając się na schodach. To wszystko było ponad jej siły.

Reks na jej widok wstał z trudem spod drzewa, gdzie go zostawiła. On też już miał dosyć. Chodź, piesku, jeszcze trochę. Musimy dać radę, przecież jesteśmy oboje tacy dzielni. Ruszyli za dwiema smugami zostawionymi przez sanki. Miała nadzieję, że Otto spowodował eksplozję, po czym uciekł polami do lasu, skąd dało się niezauważenie przedostać do Malchow i dalej ku Rügenwalde, by dołączyć do swoich. Plan był dobry.

Rzeczywistość szybko pozbawiła ją złudzeń. Podwójny ślad płóz, owszem, szedł w dół, ale po kilkudziesięciu metrach zawracał do wsi i wiódł między domami na drugą stronę. Narastające w niej podejrzenie zamieniło się w pewność. Płozy sanek Otto na Stubenauera wiodły na dół, a towarzyszyły im głębokie odciski końskich kopyt. Pojechali za nim. Upadła na śnieg w środku

okręgu, który jeździec z pistoletem wydeptał swoim fantazyjnym tańcem, i zaszlochała głośno. Reks położył się przy niej i potakująco zaskuczał. Zgodnie uznali, że dają sobie spokój. Jak koniec, to koniec.

4

Otto wcale nie wrócił po żołnierzyki. Od dawna nie wyjmował ich z pudełka. Kiedy ma się sześć lat, to zabawa ołowianymi figurkami może jest porywająca, ale nie, gdy ma się lat dziesięć i jest się zakochanym. Jeśli strzelać, to z prawdziwej broni, a nie z palców i obślinionych warg.

Otto wrócił po parabellum, zwane również lugerem, które dziadek, weteran pierwszej wojny światowej, schował w stajni pod powalą. Przed ucieczką sołtys ostrzegął, że jako ludność cywilna nie powinni mieć broni palnej, żeby nie prowokować kłopotów. Po naradzie postanowili więc zostawić lugera w schowku. Większość mieszkańców Heinsdorf żywiła głębokie przekonanie, że niedługo tu wróci, i dziadek Ottona należał do tej większości. Pomrukiwał coś o sprawiedliwości dziejowej i odwiecznym prawie do ziemi, o tym, że świat nie ma prawa i tak dalej. Otto nie próbował nawet oponować, ale myślał o tej wojnie trochę inaczej.

Schówek odkrył już latem, całkiem przypadkowo, goniąc po stajni za młodymi jaskółkami, a dziadek wcale się nie zezłościł, tylko pokazał mu, jak się z tymi rzeczami obchodzić. Parę razy wyciągał pakunek, odwijał pistolet z naoliwionej szmaty i pozwalała wnukowi rozkładać i składać broń. A pewnego dnia stwierdził: „Jest wojna, chłopcze, trzeba umieć strzelać”, i zabrał go do lasu. To był chyba najpiękniejszy dzień jego życia! Z grubych bukowych desek dziadek zbił tarczę, wyrysował na niej koła z numerami i kazał celować w środek. Przy pierwszym strzale myślał, że mu rękę urwie. Czuł to szarpnięcie w barku jeszcze przez tydzień. Dziadek był zwolennikiem twardego wychowania i w ogóle nie zauważył problemu albo udał, że nie zauważa, a trzy dni później znowu zarządził wymarsz do lasu. Po miesiącu Otto trafiał z dwudziestu

metrów prawie w sam środek. Dziadek go nie chwalił, ale na koniec lekcji objął ramieniem i przycisnął do siebie.

Wieczorami przed zaśnięciem Otto wyobrażał sobie, że nadchodzi front, źli żołdacy atakują Heinsdorf, a on bierze Gerdę za rękę i z zatkniętą za pas bronią wyprowadza ją do przygotowanej przez siebie kryjówki. Po drodze zabija paru wrogów strzałem prosto w czoło. Kiedy oboje już są bezpieczni, ona mu dziękuje i całuje go w usta. Potem się obejmują i przytulają do siebie, jak ta para na talerzu z babcinej porcelany. To była myśl słodka i podniecająca, od której ścisnęło go w dołku i pociły się ręce.

A teraz źli żołnierze przyszli naprawdę. Kiedy Gerda tam na drodze zaczęła krzyczeć o Rekse, cała kolumna uciekinierów stanęła i stryj Liebner uderzył córkę w twarz, a ona pobiegła z powrotem do wsi, Otto w pierwszym odruchu chciał zeskoczyć z wozu i biec za nią. Nie mógł. Dziadek posadził go na koźle i kazał powozić, więc siedział bezradny ze ściągniętymi lejcami, trzymając krótko dwa niespokojne gniadosze, które tylko czekały, żeby ktoś im popuścił. Gerda raz się obejrzała, a potem znikła za zakrętem. Patrzył zrozpaczony, jednak po kilku krzykach kolumna ruszyła i on również musiał machnąć lejcami. Konie szarpnęły wozem, dziadek, zamiast usiąść obok niego, spoczął z tyłu na tobołach i zapadł w drzemkę. Jechali, a Otto czuł się jak w klatce. Gerda tam idzie sama, na śmierć. On nie umie jej pomóc. Nie chce.

– Mamo, muszę siusiu.

– Wytrzymaj jeszcze, do miasta niedaleko.

– Ale ja muszę.

Matka odwróciła się i szturchnęła dziadka, a ten burknął coś pod nosem i przegramolił się do przodu. Usiadł na ławce obok wnuka i pokiwał głową.

– Idź, załatw, co trzeba, i wracaj. Tam są krzaki.

Pokazał batem na zaśnieżone pola, gdzie jak okiem sięgnąć nie było żadnej kępy zarośli. Był za to wąski parów, którym dałoby się wymknąć niezauważenie z kolumny i wrócić do Heinsdorf. Chłopiec pomyślał, że dziadek wie. Dziadek dużo wiedział,

dlatego mało mówił. Otto uściśnął starego Stubenauera za ramię i zeskoczył.

Wrócił do wsi. Znalazł ją we własnym domu. Przytulił. Siedziała na łóżku i była strasznie smutna, a on podekscytowany. Pachniała mrozem i psem, co mu się niezwykle podobało. Przy nastawianiu łąpy Rekxa starał się pokazać, jaki jest dorosły i odpowiedzialny, co ona chyba zauważyła. Pochwaliła go, uśmiechnęła się. Pocałowała w policzek. Było cudownie.

Na tym jego kawaleryjskie pomysły w zasadzie się kończyły, poza jednym – mieli jeszcze przed sobą drogę powrotną, pistolet mógł się przydać. Pytanie Gerdy o żołnierzyki okropnie go zawstydzilo, ale zaraz potem uznał, że to nawet dobry pretekst. Niech uważa go za dzieciaka. Kiedy na jej oczach rąbnie paru Iwanów, wtedy dopiero zacznie go podziwiać!

Luger był na swoim miejscu, w szparze między belką a dachówkami, naoliwiony i błyszczący w świetle kieszonkowej latarki. Otto sprawdził magazynek, przeładował i wsadził do kieszeni kurtki. Poczł się bardzo dorosły i silny, rozpierała go duma. Tknięty nową myślą poświęcił jeszcze w szparę pod dachówkami i zobaczył metalową zakrętkę. Wiedział o nim, tak samo jak o pistolecie. Sięgnął ręką i wyjął długi granat z drewnianą rączką. Serce mu załomotało. Powinien, nie powinien? Z duszą na ramieniu wetknął go pod pasek od spodni i ostrożnie zaczął schodzić. Umierał ze strachu, że jak mu się zsunie przez nogawkę i spadnie na ziemię, zostanie z niego krwawa miazga. Żałosny koniec heroicznej wyprawy Ottona Stubenauera w obronie pięknej Gerdy Liebner.

Właśnie postawił stopę na ziemi, kiedy usłyszał strzał. Wybiegł ze stajni i paroma susami doskoczył do płotu. Zerknął między sztachetami na główną ulicę i zobaczył ich. Trzech Rosjan na koniach. Jeden z nich mierzył do psa biegnącego od strony poczty, czyli to mogła być Dora od Müllerów. Padł drugi strzał, psisko ze skowytym przekoziółkowało parę razy i padło na śnieg. Żołnierz, który trafił, uniósł rękę w triumfalnym geście. Otto zacisnął zęby z żalu i wściekłości. Jeszcze zobaczymy.

Gerda! Przecież ona poszła uwolnić psy! Jakby dla potwierdzenia jego obaw żołnierz z lewej skręcił w podwórze i z ręką na pepeszy przyglądał się śladom na śniegu. Ogarnęło go przerażenie. W pierwszej chwili wyszarpnął pistolet z kieszeni i wymierzył w jednego z jeźdźców. Odległość była duża, raczej nie trafi, ale przynajmniej odwróci uwagę. Wtedy przypomniał sobie o granacie za pazuchą. Rzucił na drogę i tamci na pewno zawrócą, ten na podwórzu również. Jego wzrok padł na beczkowóz. To mu się wydało znacznie skuteczniejsze. Śmierdząca beka Weidemannów denerwowała Stubenauerów od zawsze i nareszcie najmłodszy z rodu miał okazję się odegrać. Przelazł na drugą stronę ogrodzenia i otworzył blaszaną klapę. Zaleciało zamarznątą gnojówką. Odkręcił nakładkę na drewnianym trzonku i szarpnął z całej siły sznurek zawleczeni. Wrzucił granat do beczki, zeskoczył i pędem pobiegł za węgiel stajni. Dla pewności wpadł za drzewo i przykucnął.

Huk był potężny. Ogłuszony i podniecony efektem Otto nie mógł złapać oddechu. Wkoło fruwały kawałki drewna i blachy, wirowały źdźbła słomy i pierze z domowego drobiu. Z podwórza wytoczyło się wielkie koło, zakołysało na śniegu i upadło. Po chwili rozległ się drugi wybuch, słabszy i bardziej głuchy, a zaraz po nim z rozerwanej stodoły buchnął ogień. Musiał gdzieś tam być ukryty zbiornik z paliwem do traktora. Kiedy odłamki opadły, Otto ścisnął lugera w prawej ręce i pobiegł po sanki. Zaraz tu będą, musi zniknąć. Ruszył pędem w dół, a potem skręcił z powrotem między domy, przeciął szosę i znalazł się po drugiej stronie głównej drogi. Usłyszał tętent za plecami, obejrzał się – jeździec wypadł zza stodoły i zatrzymał się. Sprawdzał ślady, zakręcił się w kółko i pogalopował za nim. Wkrótce dołączyli dwaj pozostali. Gerda została na podwórku Müllerów, uwolniona od śmiertelnego niebezpieczeństwa. Taką przynajmniej miał nadzieję. Musi sobie radzić sama. Na razie, póki on ich nie załatwi i nie wróci do niej po następny pocałunek wdzięczności.

Miał mniej niż sto metrów przewagi, czyli zaledwie kilkanaście sekund. Już nie odczuwał strachu, tylko przyjemne podnie-

cenie rywalizacją z widmowymi rycerzami na koniach, wprawdzie znacznie większymi od jego ołowianych żołnierzyków, ale i większymi od dziadkowej tarczy w lesie, którą w sam środek trafiał z dwudziestu metrów. Ciemność i drobny śnieg ograniczały widoczność, powinno się udać. Kiedy dotarł do krańca pola, stromo opadającego ku Wieprzy, pchnął sanki w dół, a sam skręcił w lewo i ukrył się za stertą nawozu na polu Kollwitzów. Odbezpieczył lugera, ścisnął w garści i przywarł do ziemi. Nadjechali galopem i nie zwalniając, pognali za sankami. Za minutę, najdalej dwie, zorientują się, że są puste, i zawrąca. Co jeszcze może zrobić? Nie bardzo wiedział, ale ważniejsze było, że Gerda ma trochę czasu i może uciec. Uciekaj, Gerda!

Tętent ucichł. Otto uniósł głowę, nasłuchując, ale za wzniesieniem panowała całkowita cisza. Rozejrzał się wkoło, pola również były puste. We wsi płonęły już cztery budynki i czerwona poświata rozlewała się po okolicy, podpalając śnieg. Wiatr znosił płomienie na następne domy, wielkie jęczory łopotały w powietrzu jak sztandary przed szkołą podczas święta narodowego. Wtedy ją zobaczył. Wysła zza jednego z domów, za nią niezgrabnie człapał na sztywnej łapie Reks. Oboje upadli na śnieg. Chyba płakała. Nie powinna siedzieć na widoku, w jasnym blasku pożaru widać ją było jak na dłoni. I nie powinna płakać. Przyszedł jej pomóc i należało wykonać tę robotę do końca. Poderwał się i zrobił krok przed siebie, kiedy uniosły go silne ręce. Zdażył krzyknąć: „Geeer...!”, poczuł tępy ból i zapadła ciemność.

5

Ile jest jeszcze siły w człowieku, który już nie ma siły? Co napędza pracę mięśni i ścięgien, kiedy nie ma w nich ani grama energii? Wyobraziła sobie, że odpowiada na wewnętrzne wezwanie: „Wstań i idź” – i powstaje. Na przekór głosom, krzyczącym w niej z żalu i strachu, bierze w garść sznurek dowiązany do szyi kulawego czworonoga i wlecze się nocą przez pola do Schlawe. Po to w końcu przyszła. Teraz ujrzała przed oczami tę absurdalną, potworną dro-

gę przez wypełnioną tatarskimi okrzykami ciemność i doszła do wniosku, że nie potrafi. Nie jest dzielna. W jej wyprawie wcale nie chodziło o psa ani o wiersze wciśnięte pod parapet na strychu, lecz o Pana Śmierć. Wróciła, żeby umrzeć w domu. Ci wszyscy tam, na drogach wojennej ucieczki, nie pojęli prostej i oczywistej rzeczy: że rodzinne strony można opuścić, ale nie można od nich uciec. Rodzice, dziadkowie, sąsiedzi, siostry i koleżanki – wszyscy oni łudzili się ocaleniem, które utożsamiali z fizycznym przetrwaniem, ale to nie tak. Na zawsze zostaje w duszy niezagojona rana, i będzie się jątrzyć i krwawić aż do ostatniej minuty życia, kiedy całe tamto odrzucone ukaże się w błysku niezatartego, wciąż świeżego wspomnienia. *Angst, und Gestalt, und Gebet*. Może do tego służyły jej zapisywane w odosobnieniu linijki wierszy – by się upewnić, że prawdziwa miłość nie przemija, nawet jeśli jest tylko miłością do kilku obrazków najbliższej okolicy. Kochała to miejsce, może najbardziej właśnie teraz, kiedy za jej plecami płonęły puste, porzucone domy. Kochała i nie chciała opuścić. A jeśli już opuścić, to ostatecznie. Tak, Reks, ostatecznie. Co będzie z tobą, nie wiem.

Krzyk ją otrzeźwił. Doleciał stamtąd, od pełzającej polami tatarskiej ciemności, i należał do Ottona. Urwał się nagle, jakby ktoś zatkał mu usta albo jakby... Bała się pomyśleć to słowo, ale obraz chłopca z podciętym gardłem uczeplił się jej umysłu i nie zamierzał zniknąć. Nie, teraz nie powinna umierać, popełniłaby okropną nielojalność wobec niego. Chodź, psino, musimy biec na pomoc.

Zdołała zaledwie powstać i ująć smycz w zgrabiałe dłonie, kiedy posłyszała przytłumiony tętent. Daleko na białej płaszczyźnie zamajaczyły trzy postacie na koniach. Bardziej się ich domyślała, niż zobaczyła, oni jednak z pewnością widzieli ją doskonale w blasku płonących domów. Reks już szarpał i ciągnął ku wsi. Był po stronie życia, chciał uciekać. Zawahała się. Tamci pędzili prosto na nią. Mogła poderwać się i uciekać raz jeszcze, ale to przecież nie miało najmniejszego sensu. Widzieli ją i byli znacznie szybsi. Stała więc naprzeciw galopującej trójki i czekała. Reks warczał. Zbliżali się w brzęku podzwaniających uprzęży, jej diabeł znowu

po lewej. Doszła do przewrotnego wniosku, że w tej sytuacji mogą ją uratować tylko czary. Uniosła dłoń. Wyobraziła sobie, że jest czarownicą, starą wiedźmą, która wyjmuje zza pazuchy pogiętą różdżkę i rzuca zaklęcie w galopującą wprost na nią ciemność. Niewidzialny promień unicestwienia piekielnych jeźdźców, rozpraszają się na wietrze jak śnieżny pył i rozpuszczają w nicłość na atramentowym niebie. To ją uspokoiło. Przestała się bać i czekała niewzruszona jak kamień.

Jakieś pięćdziesiąt metrów przed nią środkowy jeździec podniósł rękę i cała trójka wykonała zwarty skręt. Wyrównali szyk i pogalopowali na południe, w stronę dalekich łun płonącego Kortow. Jeszcze chwilę błyskały wzniecane kopytami chmury śniegu, a potem ciemność znieruchomiła. Gerda chwilę stała w oszołomieniu. Nie pojmowała, co się dzieje. Popatrzyła na prawą dłoń, jakby spodziewała się zobaczyć w niej różdżkę, ale zobaczyła tylko szarą włóczkową rękawiczkę z brunatnymi plamami krwi, jej albo Rekxa. W napięciu nasłuchiwała ich powrotu, jednak zimowa pustka ucichła na dobre. Do uszu Gerdy dochodził jedynie trzask płonących desek pobliskiej stodoły. Pies patrzył na dziewczynę z uznaniem. Pokręciła głową: to nie ja, psiaku.

Pozostało odszukać Ottona. Bała się pomyśleć to, co podsuwał przesycony obrazami katastrofy umysł. Wmawiała sobie, że tobolek przerzucony przez siodło dowódcy, który dał rozkaz do odwrotu, to zrabowane rzeczy, a nie jej kuzyn. Że dyndające z końskiego boku buty były wojennym łupem grabieżców, a nie chłopięcymi nogami. Dlatego mimo protestów kulawej psiny uparła się i poszła sprawdzić. Cisza pękła jak napięta lina. Od wschodu i południa wzmogły się bitewne grzmoty, błyskały eksplozje pocisków, terkotały karabiny. Nie zwróciła na nie uwagi. Znalazła odcisnięty w śniegu kształt chłopięcego ciała, obok niego ślady męskich butów. W świetle latarki dostrzegła kilka plam krwi. Dwa rowki wydrążone przez buty wleczonego chłopca prowadziły za wznieśnienie, gdzie stratowany kopytami śnieg znaczył miejsce postoju czujki. Tu załadowali jej kuzyna na koński grzbiet i ruszyli po nią,

a potem z niezrozumiałych powodów odjechali, zostawiwszy ją samą na śniegu jak zlekceważoną zdobycz.

Ile jest sił w dziewczynie, która nie ma już sił? Ile jest jeszcze życia w Gerdzie, która wróciła, by umrzeć? Upadła na kolana. Otto. Szczupły i niepozorny Otto, który był naprawdę dzielny, nie tak jak ona. Zniknął w tej potwornej mroźnej nocy razem ze swoimi oprawcami, pochłonięty przez nienazartego potwora wojny. A wszystko przez nią. Nabrała w ręce śniegu z drobinami krwi chłopca i ucałowała jak relikwie. Co jeszcze mogła dla niego zrobić?

I nagle pomyślała: kto wie, gdyby wyciągnęła dłoń wcześniej, zanim go porwali... Może zdołałaby ich zatrzymać? Przyjrzała się swoim drobnym, zsiniałym od mrozu rękoma. Wyglądały jak martwe i zdawały się ponaglać resztę ciała, by zechciało czym prędzej dołączyć. Czary to przekraczanie granic, przechodzenie z możliwego do niemożliwego. Od tego, co istnieje, do tego, co nie ma prawa istnieć i jest nicością. Czymże innym jest umieranie, jeśli nie takim właśnie przejściem? Czy nie takiego zaklęcia właśnie użyła, wykrzykując bezgłośnie ku nadciągającym jeźdźcom: cóż wam, diabelskie stwory, przyjdzie z zabijania umarłej?! Jak chcesz mnie sięgnąć, szanowny Panie Śmierć, skoro ten rozkoszny ból mogę zadać sobie sama? Musiałbyś mi natychmiast oddać życie, by móc mnie znowu zabić, a tego nawet ty nie potrafisz. Twoja wszechmoc działa tylko w jedną stronę.

Poczuła skurcz w podbrzuszu, myśl o rozkosznej śmierci była podniecająca. No właśnie, przecież miała umrzeć.

Reks przykuśtykał i trącił ją nosem w ramię. Chodźmy, zaraz znowu będzie za późno.

Spojrzała na północ i tam istotnie zobaczyła łuny. Podobnie na zachodzie. Paliło się naokoło. Wojenna pożoga otaczała ich ze wszystkich stron, krwawa metafora niemieckiego losu w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, ostatniego dnia lutego. Dokądkolwiek pobiegną, natrafią na ogień i zniszczenie. Heinsdorf również płonął. Każde wyjście było brakiem wyjścia.

Nie, Reks, już nigdzie nie pójdę. Wybacz, że cię oszukałam. Ja tu zostaję, niech się dzieje, co chce. Wiesz, jestem dzielna, dam sobie radę. Nauczyłam się czarować, sam widziałeś, i teraz to jest chyba ostatnia moja broń przeciwko życiu. Tak, dobrze mówię, przeciwko życiu, które ma już dla mnie tylko cierpienie i cierpienie, i następne cierpienie, i tak aż do końca. Pewnie psy nie zajmują się rozmyślaniami nad sensem egzystencji i zręczne aforyzmy nie robią na nich wrażenia, ale chciałam powiedzieć, że będę żyć w śmierci. I umierać w życiu. To moje zakłęcie zwrotne, działa w obie strony i przekracza granice, jak duch zawieszony pomiędzy światami. Nie rozumiesz? Nie szkodzi, z czasem zrozumiesz. Bo widzisz: zostałam czarownicą.

Reks nie dawał za wygraną i poszczekiwał, pokazując pyskiem na północ. Tam gdzieś oddalało się od nich życie i jeśli chcą przetrwać, powinni za nim podążać bez względu na wszystko. Pogłaskała go po jasnym łbie. Śnieg przestał padać i niebo nagle się rozgwieździło. Najjaśniejszy zimowy gwiazdozbiór, który przypominała wielką kokardę zawiązaną przez Boga na głowie wszechświata w przyływie dobrodusznej troski, wisiał nad czarną linią lasu. Tam pójdziemy, powiedziała, pokazując go palcem. Pies patrzył zdezorientowany. Jego wybawicielka najwyraźniej zupełnie oszalała i wybierała się dokładnie tam, gdzie przed chwilą zniknęli ich prześladowcy. Wybierała się pieszo, z nim jako ledwie dyszącym ze zmęczenia kuternogą, podczas gdy tamci odjechali konno. Na jego psi rozum było to zdecydowanie zbyt trudne do pojęcia.

Zarzuciła torbę na ramię i podreptała wolnym krokiem pomiędzy pniami nagich, zmarzniętych drzew. Mijali kolejne zagrody, aż wrócili do gospodarstwa Müllerów i szopy, pod którą się chowali. Już przedtem przypomniała sobie o tym schowku, słuchając końskich kroków na podwórzu, ale wtedy był nieosiągalny. Nie zdążyłaby, zwłaszcza że nie wiedziała, czy jest otwarty.

Müllerowie należeli do bogatych gospodarzy i kierowanie pocztą bynajmniej nie było najważniejszym źródłem dochodów pana

Antona. Z pomocą syna Josepha, zwanego Seppem, uprawiał spory kawał pola, głównie buraki cukrowe, które na zimę składowano w ziemiankach. Na końcu sadu, za ostatnią antonówką znajdowały się trzy takie dziury w ziemi, przykryte darnią. Znała je, bo służyły za świetne kryjówki do zabawy, w dawnych czasach, kiedy ona była dzieckiem, a świat wyglądał jeszcze w miarę normalnie. Kończyła się zima, powinny być przynajmniej częściowo opróżnione.

Wybrała tę z lewej. Odgarnęła śnieg ze skobla. Nie było na nim kłódki, ale i tak nie dało się otworzyć – kłapa przymarzła. Od południa usłyszała dudnienie. To nie były wybuchy artyleryjskie, tylko regularny warkot. Pewnie jakieś mechaniczne pojazdy czerwonych diabłów, skuteczniejsze od koni, które może wystraszyć jeden pomysłowy chłopiec. Może czołgi. Reks patrzył na nią z zainteresowaniem, jakby uprzejmie zapytywał: i co teraz, droga wariatko? Wzruszyła ramionami. Nie obchodziło ją. Pochyliła się i zaczęła chuchać w spojenie włazu i drewnianej ramy. Starła się jak najmniej naruszać pokrywający go śnieg; chodziło o zamaskowanie wejścia. Po kilku minutach kłapa drgnęła. Od południa zbliżało się to coś dudniącego i chrzęszczącego, pies zastrzygł uszami. Poświeciła do środka, miejsca było dosyć. Z trudem wzięła Reksa na ręce i zniosła na dół, po czym wróciła, starannie przymknęła właz i przekreśliła kłamkę skobla. Zamknięte. Nikogo nie ma. Kiedy ostatni raz rzuciła okiem na południe, zza wzniesienia wyłonił się pierwszy czołg. Czarny potwór na białej płaszczyźnie heinsdorfskiego pola.

W ziemiance było ciepło i sucho. Przeleźli na sam koniec, Gerda rozłożyła płaszczyznę na buraczanych bulwach i wygłodniali zabrali się do jedzenia. Dziewczyna odrywała kawałek chleba i wygarniając nim ze słoika konserwowe mięso, karmiła na przemian psa i siebie. Nad ich głowami drżała ziemia, po której przetaczały się piekielne maszyny, ale wkrótce przestali na nie zwracać uwagę. Nasyćwszy głód, ułożyli się do spania. Reks grzał ją swoim grubym białym futrem. Warkot pojazdów i krzyki ludzi dochodziły z innego świata, z odległej krainy żywych. Gerda już się nie bała. Było jej dobrze. Jak w grobie.